NUMER 34. DNIA 23-go SIERPNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego.

Przed kilkoma tygodniami opuściła prasę drukarską pod powyżej przytoczonym tytułem książka, która powinna zwrócić na siebie uwagę całego, dla spraw ojczystych niezobojętniałego ogółu polskiego. Wydana na pamiątkę czterdziestej rocznicy ostatniego naszego powstania, zawiera ona kilkadziesiąt wspomnień, listów i opowiadań po większej części umyślnie dla niej skreślonych przez żyjących jeszcze uczestników nieszczęśliwie zakończonej, lecz tak bohaterskiej walki, a przedstawiających jakiś epizod, w którym piszący osobisty brał udział. Oprócz tego mieszczą się w niej wyjątki z prac pozostałych po zmarłych już autorach, wybitną odgrywających rolę w narodowym dramacie.

Do książki, złożonej z tak różnorodnych utworów, pisanych przez ludzi rozmaitego stopnia uzdolnienia, nie można przykładać zwykłej miary literackiej. Z samej natury zbiorowego wydawnictwa wynika, że mieszczą się tam ustępy, opracowane przez wytwornych pisarzy, władających znakomicie naszą mową, umiejących wyrazić myśl swoją obrazowo i przejrzyście, obok naiwnych, nieudolnem piórem kreślonych opowiadań. Ale też w takiej książce nie idzie wcale o styl i doborowy układ obrazów, lecz o rzecz znacznie ważniejszą, a mianowicie o szczerość wrażeń, odniesionych bezpośrednio przez naocznych świadków epoki, mającej zająć w naszych dziejach jedną z kart najważniejszych.

Z pośród bohaterskich wysiłków, przedsiębranych w ciągu ostatnich stu lat, ażeby uwolnić naród z jarzma niewoli, ten ostatni swoją ofiarnością i gotowością do bezmiernych poświęceń, pomimo wszelkich błędów jakie popełnione zostały, wysuwa się stanowczo na czoło innych. Odbiegliśmy też daleko od chwili, kiedy godni potomkowie shańbionych w Targowicy ojców, bezczeszcząc nazwisko uczciwego błazna, w Tece Stańczyka plwali na świeże mogiły poległych w obronie wolności bohaterów i szyderstwem obrzucali lasy szubienic wzniesionych przez wroga. Steroryzowane i znieczulone pod wpływem klęski społeczeństwo pozwalało lżyć się wtedy nad opustoszałą i oniemiałą ze zgrozy krainą bezkarnie. Obecnie już ocenia ono ruch ten jako konieczność, która zmusiła naród do rozpaczliwego kroku dla ocalenia życia.

Nie było w dziejach świata narodu, któryby upadł tak sromotnie, jak nasz, bez pr. by odparcia napaści. Pozwoliliśmy się poćwiartować, jak bewładne ciało, przenosząc upokorzenie niewoli nad chwilowe cierpienie, jakie za sobą obrona walka pociąga. Na odkupienie narodu i zmycie z jego oblicza hańbiącego piętna takiego upadku, potrzeba było potoków krwi ofiarn :, której poskąpili nasi

przodkowie. Więc też krwi tej wypłynęło już morze i lać się ona nie przestanie, dopóki nie naprawimy i nie odzyskamy tego, co oni zniszczyli i utracili. Kościuszko pierwszy, rozumiejąc, że zbawienie ojczyzny zależy od rozbudzenia w zamierającem społeczeństwie poczucia godności i gotowości do ofiar, wezwał naród do boju. Ale powstanie musiało upaść, bo ofiarności tak dalece zabrakło w narodzie, że zmuszono go do odesłania do domu chłopów, garnących się pod sztandary ojczyste.

Od tej pory jednak w nowych pokoleniach, zaczyna się szerzyć duch inny. Nieprzerwany szereg prac tajemnych i jawnych wystąpień przez długie lata trzyma w napięciu cały obszar ziem naszych, ponawiają się wciąż próby naprawienia dawnych błędów. Ostatnim wysiłkiem było powstanie styczniowe, zakończone ciężką klęską. Zwolennicy strusiej polityki w mniemaniu, że schowanie głowy pod skrzydło wystarczy, ażeby zapewnić narodowi szczęście, wyzyskiwali przez długie lata to niepowodzenie, nakłaniając ogół do pogodzenia się z losem i dowodząc, że porywanie się na nierówną walkę prowadzi tylko do zguby, a nie przynosi żadnej korzyści, musi być zatem uważane za działalność „destrukcyjną i pustoszącą“ tak zupełnie, jakby to wielkie cele moralne można było mierzyć ilością strat materjalnych, albo nawet ilością ofiar ludzkich, które dla nich padną. W tym wypadku zresztą było to podwójną nieprawdą, gdyż wybuch styczniowy przyniósł narodowi olbrzymią namacalną korzyść, a było nią uwłaszczenie i usamowolnienie włościan. Krwawiąca rana jednym zamachem pióra na zawsze usuniętą i wygojoną została. Ojczyźnie powrócono miliony krzywdzonych dotąd obywateli, którzy na przyszłość mają obowiązek bronienia przed wrogiem własnej ziemi.

I oto Księga pamiątkowa po przedmowie Komitetu wydawniczego i umieszczeniu podobizny kilku pieczęci Rządu narodowego rozpoczyna się właśnie obok Manifestu Komitetu centralnego, wzywającego naród do powstania, od przytoczonych dosłownie dokumentów: „Dekretu uwłaszczenia“ i „Dekretu nadania bezrolnym“. Oprócz nich załączono jeszcze dwadzieścia dokumentów urzędowych, mniej już ważnych, jakkolwiek wszystkie bardzo ciekawe.

Komitet, wyprawiając w świat swoją księgę, opatrzył ją życzeniem, ażeby „przyjętą została przez młode pokolenie takiem sercem i taką miłością, z jaką jest ona ofiarowaną“. Będzie to pociechą i nagrodą dla tych, którzy, spełniwszy swój obowiązek, odejdą spokojni o los sztandaru, złożonego w dobre ręce.

Jeszcze Polska nie zginęła
Choć nas już nie będzie
Czego starość nie dopięła
To młodość zdobędzie!

Życzenie to spełnione zostanie niewątpliwie, gdyż książka nie tylko jest zajmującą, ale budzi w sercu otuchę i zaufanie we własne siły, daje przykład wytrwałości młodym, którzy dopiero działać zaczynają i stanowi dowód, że nam nie wolno tracić wiary w lepszą przyszłoś, kiedy jej nie stracili ci, co najdotkliwiej w ostatniej klęsce ucierpieli i największe złożyli ofiary na ołtarzu dobra wspólnego. Czyta się ją też z zapartym oddechem, tyle się w niej mieści przejmujących obrazów, tyle nędzy i nieszczęścia naszego, tyle ciekawych, a nieznanych szczegółów, które byłyby bez tego utonęły w zapomnienia fali. Ocalenie ich od zagłady stanowi niezaprzeczoną zasługę wydawnictwa. Społeczeństwa mają to tylko, na co zasługują, należy to do prawd, które nigdy nie bywają powtarzane dosyć często. Obojętne i niedbałe nie znają własnych dziejów i pozwalają ginąć bezpowrotnie najdonioślejszym wypadkom. Ileż to faktów ważnych u nas w ten sposób na zawsze zginęło, bo działającym po dokonaniu zadania zdawało się, że nie warto chwalić się i o tem, co zrobili, wspominać, albo też zniechęceni obojętnością ogółu zabrali ze sobą zazdrośnie na tamtą stronę grobu szczegóły, bez znajomości których dzieje nasze porozbiorowe nigdy już nie zostaną uzupełnione.

W książce pamiątkowej znalazły pomieszczenie wszystkie niemal ważniejsze epizody krwawej epopei, mniej lub więcej umiejętnie opracowane. Tworzyłyby też one prawie całokształt powstania, gdyby były ułożone kolejno, w miarę rozwijających się wypadków. Tak zaś, jak są spisane w alfabetycznym porządku podług nazwiska autorów, tracą cechę jednolitego obrazu, zamieniając się w różnobarwną mozajkę, z której nie każdy zdoła sobie całość odtworzyć, zwłaszcza wśród bardzo licznej rzeszy nieobeznanych zupełnie z dziejami styczniowej walki. Z drugiej je-

dnak strony taki układ ułatwia odnalezienie poszuwanego ustępu.

Z pośród prac, które się w niej znajdują, prowadzących nas od Paryża do Kamczatki, na pola gdzie się krew lała i do zaułków, gdzie wróg mordował bezbronnych, możemy tylko najważniejsze wyliczyć, czy to pod względem wartości, czy najlepszego opracowania. Do takich należą z czasów przedpowstańczej organizacji następujące:

Agatona Gillera — „Przedwczesny wybuch powstania“, Limanowskiego Bolesława — „Pierwsza manifestacja w Wilnie 1861 r.“ Zygmunta Miłkowskiego — „Komitet centralny“, Bronisława Szwarcego — „Założenie Komitetu centralnego“, Dr. Sawickiego Stelli -- „Z krwawej przeszłości“.

Portrety, sylwetki i zarysy bohaterskich postaci skreślono bardzo barwnie i zajmująco. Charakterystykę „Zygmunta Chmielińskiego“ podał Bolesław Anc, wizerunek „Ludwika Narbutta“ naszkicowała p. Helena Sołtysowa, a „Janka Białego“ J. K. Janowski, wzmiankę o „Janie Jeziorańskim“ napisał Eugeniusz Korytko. Ważnym dokumentem dla przyszłych historyków powstania jest opis wręczenia Czachowskiemu nominacji na pułkownika i naczelnika Województwa sandomierskiego przez Stanisława Jarmunda („W obozie Czachowskiego“).

O zachowaniu się ludu wobec ówczesnych wypadków i udziale, jaki w nich brał, piszą: Bronisław Deskur „Usiłowanie uwłaszczenia“, Józefa Anc w ładnym obrazku p. t. „Kwesta“, Teleżyński Alojzy: „Lud ruski na Wołyniu“, Giller i inni, nie wyłączając nadzwyczaj charakterystycznego „Listu“ Bosaka.

Z dziejów naszej martyrologji zdają sprawę Dalbor, O. Wacław, Nartowski, Monastyrski, Sławiński, Klemensiewicz.

Z opisów bitew i klęsk do wybitniejszych należą: Karola Brzozowskiego „Bitwa pod Kostangalią“, Rębajły pułkownika „Obława moskiewska, Generał Bosak w obozie“, Oksińskiego pułkownika „Od 16 do 21 stycznia“, Rozwadowskiego Bolesława „Wyprawa Zapałowicza“, Polaka z Ojcowa „Obrona Glanowa“. Kahane w „Dziejach Żuawa“ opisuje sympatyczną postać Rochebrun'a. Wreszcie zajmujące są prace Zaręby, Gliszczyńskiego, Valezego Piaseckiego, Waltera i wielu innych, których brak miejsca wyliczyć nie pozwala. Oprócz tego spotykamy w książce sporą garść poezji Benedyktowicza, Duchińskiej, Romanowskiego, Stronera, Wolskiego, przeplatających utwory, pisane prozą. Słowem treść w niej jest tak obfitą, że wzmianką krótką nie daje się wyczerpać.

Należałoby też wspomnieć o zaletach i wadach księgi jako całości. Otóż najważniejszą wadą wydaje mi się to, że wszyscy prawie z żyjących autorów pamiętali zanadto, iż piszą do wydawnictwa jubileuszowego, przeznaczonego na uczczenie wielkiej chwili dziejowej, starając się dobre strony podnosić, a złe pomijać, albo pobieżnie tylko o nich wspominać. Nie znaczy to jednak żeby prawda była fałszowaną, ale błędy nie są dosyć ostro napiętnowane i potępione. A przecież pewnych przestępstw nie należy ukrywać, bo wypływają one z wad narodowych, od wykorzenienia których nasza przyszłość zależy. Wprawdzie w powstaniu styczniowem znać postęp w stosunku do 1831 roku, ale i tu samowola, niezgoda, intrygi i zdrada, przyspieszają upadek. Z księgi jubileuszowej nie odnosi się dostatecznie tego wrażenia. I tak nazwisko Langiewicza powtarza się w niej po wiele razy, a żaden z piszących nie napiętnował niecnego narzędzia w ręku intrygantów, przeznaczonego do rozbicia powstania, któremu też ostatni cios zadaje. Pisze się o pułkowniku Toporze, nie wzmiankując nawet, że to ten sam, który uszedł z posterunku przed bitwą i przyczynił się głównie do klęski pod Nową wsią. Mówiąc o Mielęckim nikt nie wspomina, że ten intrygant przez zawiść i niesubordynację wywołał bunt i rozbił oddział Mierosławskiego, a następnie kłótnią podczas bitwy z Garczyńskim do klęski i zniszczenia własnego oddziału doprowadził. W ogóle tam nawet, gdzie autor, jak w „Wyprawie Zapałowicza“ Rozwadowski, pisze o niedołęztwie dowódców, graniczącem ze zdradą, przez co zmarnowany został oddział rokujący najpiękniejsze nadzieje, to wyraża się o tem tak spokojnie, jak o najzwyklejszej rzeczy, bo my jesteśmy bardzo grzecznym i dobrze wychowanym narodem, który nie lubi nazywać rzeczy po imieniu i woli znosić skutki niegodziwych czynów, niż karać je, choćby tylko oburzeniem i pogardą.

W niektórych jednak pracach, jak na przykład Zakrzewskiego „Wyprawa Taczanowskiego“, spotykamy się z ostrem potępieniem marnowania sił

w bezczynności pod pozorem oczekiwania interwencji. Stanisław Jarmund zaś daje wymownie skreślony obraz samowoli i niezgody dowódzców drobnych oddziałków gotowych do zaprzepaszczenia sprawy dla utrzymania swojej samodzielności. Niezgoda nas zawsze gubiła, a i dziś nie dzieje się lepiej. Wszelką pracę na polu narodowem waśń rozbija. Każdy chce być generałem i rozkazywać, a nikt nie poświęci ani odrobiny ze swego „widzimi się“ dla umożliwienia wspólnej z innymi działalności.

Większy nacisk położony na te wady byłby wzmógł pedagogiczną wartość książki, przeznaczonej na rozpowszechnienie wśród szerokich warstw. Zewnętrzna jej strona, pomimo paru szpecących omyłek, przedstawia się bardzo dobrze. Papier niezły, druk wyraźny, czyni ją łatwą do czytania, a bajeczna taniość — 3 korony, pomimo wielkiej objętości, ułatwi i mniej nawet zamożnym jej nabycie. Inicjatorom wdzięczność się też za nią należy.

Ma — Ja.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(8)

Kobieta poczęła szybko oddychać.

— Tam — śmierć! — szepnęła przez łzy. — Czułam, jak dusza gasła i tak się bałam, tak strasznie się bałam, że nie ujrzę już świadomemi oczyma kraju... Chcę widzieć ciebie i syna wśród swoich, w otoczeniu ludzkiem. Wtedy odejdę w spokoju...

— Po co masz odchodzić?.. Co za pomysły!?.. Zdrowie wróciło!.. Mówiłem o kłopotach, ale nie są to rzeczy niepokonane... Głupstwo!.. Wszystko się ułoży i znajdzie!.. — mówił gorąco Karski, zawstydzony swą chwilową słabością. Objął żonę i przycisnął do siebie. Anna trzęsła głową.

— Nie udawaj. Wiem, że to łatwo nie będzie, ale... po za nami coś... niby straszna hydra, lodowaty potwór o białych oczach i kłach... Wydaje mi się wciąż, że wyciąga ku nam drapieżną rękę... i dla tego biegłabym bez wytchnienia, nie jedząc, nie śpiąc... uciekałabym. Strasznie wolno posuwać się będziemy. Mam wrażenie opóźniania się i żarłoczne pragnienie pośpiechu. Zobacz, czy nie zgubiłeś przypadkiem pasportu? Dziewięćset wiorst!.. taka olbrzymia droga! Nie wierzę, żeby ci ludzie byli w stanie nas dociągnąć... jacyś włóczędzy z pod ciemnej gwiazdy...

— Zwykli tutejsi oryle. Już rozpalili ogień. Wartoby zagotować i dla nas herbaty.

— Idź, nastaw imbryk... Ja pójdę do łodzi... Boję się ich!

Gdy Karski podszedł z naczyniem do ognia, Spirydion odebrał mu je z ręki i powiesił na kołku obok innych kotłów i imbryków. Oryle zrobili mu miejsce u ognia i ciekawie zaczęli się przyglądać. Jeden tylko Obuch nie ruszył się i nie zwrócił ku niemu oczu, nieruchomo utkwionych w płomienie. Karski mimowoli spojrzał uważnie na silną postać i wyrazistą twarz pięknego blondyna.

— O czem myśli ten człowiek!... — rozważał, przyglądając się zarysom twardej, kwadratowej jego czaszki i dużym uszom ze srebrnymi kolczykami.

W tej chwili włóczęga podniósł głowę, ziewnął i przeciągnął się.

— Hę!... Coś ckliwo!... Na co czekamy, chłopcy?...

— Damian jeszcze nie wrócił!...

— Aha!...

— Już jedzie! — uspokoił ich Koźma. — Słyszycie?

Cicho, miarowo pluskały daleko wiosła, nurtując wśród wiklin. Pary kaczek, spłoszone przez

płynących, porywały się od czasu do czasu z krzykiem i zataczały koła w mroczno-różowem powietrzu.

Holownicy ożywili się. Posłani po drzewo „Żyganowie“ przynieśli ogromne naręcza suchych patyków i wrzucili je na stos. Obuch z „Majdaniarzem“ przywlekli z brzegu wielką kłodę drzewa, porzuconego tam przez powódź.

— Aj, da! Zuchy jesteście .... — chwalili ich kupcy, wygrzewający u ognia grube członki i okrągłe żołądki.

— Macie siłę! — dodał Tereszkin i spróbował podnieść kłodę, ale nie zdołał.

Obuch spojrzał na nich i uśmiechnął się milcząco.

— Starczy na całą noc! — poważnie zauważył Guran.

— Ciepło będzie...

— Zawsze: co drzewo, to drzewo, nie patyk.

Wszyscy jednak, z wyjątkiem kupców, którzy mieli „swoją wódkę“, choć pozornie zajęci rozmową, zwracali niecierpliwie uszy, a niektórzy i oczy w stronę, gdzie coraz wyraźniej pluskały wiosła.

— Oha! — krzyknięto im z wody.

— Bywaj! — odpowiedzieli.

Dno łodzi otarło się z chrzęstem o piasek. Część orylów pobiegła na spotkanie przybyłych. U ogniska pozostali kupcy, Obuch, Majdaniarz, młody Tatar, Achmetka i Spirydion wraz ze szpakowatym, chuderlawym włóczęgą, przezywanym Niemcem. Obaj doglądali kotłów.

Niezadługo w świetle ognia ukazał się Damian, poprzedzony przez tyczkowatego Żygana Większego z beczułką na ręku. Niósł ją pieczołowicie, jak dziecko, miauczał i udawał oblizującego się kota.

— Cóż, kolacja?

— Jest. Siadajcie i opowiadajcie, co słychać w mieście...

— Dawajcie, napijemy się najpierw herbaty, jak się godzi...

Koźma rozdał orylom suchary i cukier, każdy z nich kubek lub filiżankę postawił przed sobą, poczem Niemiec, dźwigając oburącz ogromny imbryk, szedł wokoło i rozlewał napój. Damian przysiadł koło kupców, którzy też kazali przynieść ze szkuty swe „jadło“: białe obwarzanki, masło, wędzoną rybę, szynkę...

— A cóż ten? — mruknął Bryłkin, kiwając głową w stronę łodzi.

— Przekłada sam na sam z żoną... odpowiedział Tereszkin.

Wszyscy się roześmiali i posypały się żarty.

Gruby Tereszkin cały czas zabawnie wzdychał, przewracał oczami i rżał z cicha.

Tymczasem Spirydion, owiany kłębami dymu i pary, dobywał uroczyście z kotła kawały mięsa i składał na ogromnej pokrywie. Majdaniarz przelewał wódkę z beczułki do flaszek. Damian podał niezwłocznie jedną z nich najstarszemu kupcowi.

— Cóż, dzieci, szczęśliwej drogi... żeby nam się powodziło, żeby wiatr wciąż dął w rudel, żeby ominęły nas mielizny, rafy, źli ludzie!... W twoje ręce, Damianie!...

Przeżegnał się, wypił i chrząknął.

Kiedy kielich obszedł kolej, ten sam kupiec zatrzymał butelkę i zwrócił się do Damiana.

— Nie godzi się. On sobie może robić, co chce, ale stary obyczaj każe nikogo nie omijać... Idź, Damianie, proś swego pasażera!..

Karski cicho rozmawiał z żoną, oparty o galeryjkę pomostu. Oleś spał w budzie, zawieszonej chustą.

Przejrzysta noc podbiegunowa wisiała nad zamgloną rzeką. Srebrne wody, równie blade, jak niebo, wypełniły widnokrąg. Ciemne ostrowia wikliny oraz ciemne pasma gór w dali były jedynemi chmurami, plamiącemi opalowe przestworza.

— Przekonana jestem, że nie ma miejsca, gdzieby ludzie tacy, jak my, spokój znaleźli. Po powrocie zacznie się to samo. W pustyni skazani jesteśmy na tęsknotę do ludzi; wśród ludzi na ciągłą troskę, niepokój i walkę z nimi... Trzeba ich wciąż myć i ratować, wbrew ich chęciom i oporowi, jak brudne, zaniedbane, nieszczęśliwe dzieci... Już sił nie starczy!... — mówiła pani Anna z goryczą. (C. d. n.).

W ZADUMIE

Władkowi Kilińskiemu.

Pójdę — a po mnie zostaną popioły,
Które zakryje wnet cień zapomnienia
I nikt nie będzie znał mego imienia,
Jeno te ciche, samotne kościoły,

W których gromadzą się stróże — anioły:
(Wielcy synowie mroków i milczenia)
I bogom nucą hymny uwielbienia,
Bijąc o ziemię pokornemi czoły.

Pójdę samotny — żadna mi nie będzie
Muzyka grała w tym czarnym pochodzie,
Jeno zapłoną sinych gór krawędzie,

Jeno rusałki coś zanucą w wodzie
I wiatr nad moją dolą się rozpłacze,
Iżem miał życie tak, jak on, tułacze...

Feliks Gwiżdż.

JULJUSZ PIASECKI.

„Na kresach“

I.

Przeglądaliśmy właśnie z redaktorem wieczorne wydania miejscowych ,,Blattów“, które rozpisywały się szeroko o buntach dzieci szkolnych pochodzenia polskiego, gdy otworzyły się cicho drzwi i z progu odezwał się głos lękliwy, wymawiający z pokorą pozdrowienie chrześcijańskie.

Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem wychudłą kobietę, ubraną, jak miejskie służące, ale tak zbiedzoną i niedostatecznie odzianą, że robiła wrażenie uosobionej nędzy. Czoło i połowę twarzy zakrywała duża, ciemna chustka, która owijała jej spiczaste ramiona i spadała wzdłuż pleców, aż na spodnicę. Jedną ręką przytrzymywała końce chustki na piersiach, w drugiej trzymała nie duży, pleciony koszyk. Stanęła nieśmiało przy drzwiach i spojrzała przed siebie głęboko zapadłemi oczyma w których tlił krwawy jakiś błysk. Wokoło ust drżały tłumione wykrzykniki i znać było, że przy pierwszych słowach z ust jej wybiegnie skarga jedna za drugą, a może nawet krzyk wielki, straszny: krzyk dręczonej, katowanej duszy.

— Zdaje się, że przybyła jakaś petentka — szepnąłem redaktorowi przez stół.

Rownocześnie dałem kobiecie znak ręką, żeby się zbliżyła.

Ledwie redaktor spojrzał w jej stronę, zmarszczył brwi i zawołał szorstko:

— Na górę idźcie, do prywatnego mieszkania! Tutaj przeszkadzać nie wolno.

Zwracając się zaś w moją stronę, dodał:

— Jest to żona szewca, która ma u nas zawsze coś do roboty.

— Może nie zastała nikogo na górze — szepnąłem.

Kobieta posłyszała mój szept i podchodząc jeszcze bliżej, rzekła nieśmiało:

— Odniesłam już buciki i wstąpiłam do redakcji, żeby....

— Numer gazetki otrzymacie w ekspedycji — przerwał redaktor,

— Ślicznie dziękuję. Ale ja tu po co innego...

Mówiła już śmielej i utkwiła w twarzy redaktora spojrzenie czarnych źrenic, przesłoniętych mgłą żółci i krwi.

— Zbił was mąż, czy co? — zawołał redaktor.

Kobieta zaprzeczyła energicznym ruchem głowy i odparła z pewnem wahaniem:

— Już nie bije.

— A więc cóż? — spytał redaktor.

— Z krzywdą przyszłam do pana redaktora i proszę o radę i pomoc. Gdzież mi iść, jeżeli nie tu, do naszej gazetki? — wybuchnęła nagle.

Stała przed stołem z podaną naprzód głową, z której zsunęła się chustka i odsłoniła wysokie, wypukłe czoło, poprzerzynane siatką drobnych, głębokich zmarszczków. Nozdrza orlego nosa rozdęły się, usta wąskie, bezkrwiste drżały. Na kościstą, ściągłą twarz, wystąpiły krwawe rumieńce.

— O cóż idzie? — spytał redaktor, wskazując jej krzeszło, żeby usiadła.

Ale nie odpowiedziała i nie usiadła. Błysnęła tylko oczyma, otworzyła usta, jakby jej nagle tchu w piersiach zabrakło, a potem niespodziewanie zawołała:

— Niemców zrobić mi chcą z dzieci, a ja Polką jestem i po polsku dzieci wychowałam. Dziesięć lat męki przeżyłam, żeby naprawić to, że za Niemca wyszłam. Dziesięć lat, dzień po dniu, noc po nocy, walczyłam o moją duszę i o dusze moich dzieci. A dziś....

Głos jej się załamał w krtani i usłyszałem urywany, suchy spazm płaczu. Kobieta zasłoniła sobie twarz rąbkiem chustki i po chwili dopiero, kiedy zdołała się już trochę uspokoić, odkryła ją znowu. Drżącemi rękoma poczęła czegoś szukać w głębokiej kieszeni u spódnicy; wreszcie wyjęła dwa arkusze papieru, złożonego we czworo i kładąc je na stole, przed redaktorem, mówiła urywanym od łez głosem:

— Tu są świadectwa szkolne moich dzieci. Samam zapisywała je do szkoły; powiedziałam, że się nazywają: Jan i Marja Strehlik. A teraz na świadectwach mają zapisane Johann i Marie, jakby to były dzieci niemieckie. Posłałam dziś rano mojego do szkoły, żeby się rozmówił z dyrektorem. Wrócił zły i od rana słówka do mnie nie przemówił. Poszłam sama do dyrektora szkoły i ten mi powiedział, że dzieci moje są Niemcami, urodzonymi niemczakami. Na ostatku wyrzucił mnie za drzwi, jak włóczęgę. Panie redaktorze, czy już nie ma nijakiej sprawiedliwości.

Redaktor zmarszczył brwi i odparł surowo:

— Trudno was będzie bronić, bo dzieci wasze noszą niemieckie nazwisko, ojciec ich jest Niemcem....

— On po naszemu teraz czuje! — przerwała żywo.

— Kto go tam wie teraz! — zawołał redaktor. — Takie zawieranie małżeństw między Niemcami a Polkami zawsze źle się odbić musi na dzieciach!...

— Kochałam go — szepnęła kobieta.

— To też trzeba teraz cierpieć! — odparł surowo redaktor.

Przysłuchiwałem się w milczeniu i sympatja moja przechyliła się stanowczo na stronę kobiety. Według mego zdania redaktor był dla niej zbyt surowym sędzią i, jak się zdaje, nieprzyjaźnie usposobiony dla tego, że była żoną Niemca. Dla mnie, zbyt mało znającego stosunki miejscowe, szczegół ten nie obciążał tej kobiety tak wielką winą. Widziałem, że cierpi, słyszałem, że broniła i bronić chce swej narodowości, a nawet sprawiła to, że męża nawróciła na stronę swoich; ten ostatni szczegół podnosił ją w moich oczach na bohaterkę i gotów byłem w tej chwili stanąć w jej obronie, gdyby się okazało, że ona tej obrony może potrzebować.

Ale do tego nie przyszło. Redaktor występował wprawdzie z krańcową bezwzględnością przeciwko małżeństwom mieszanym i twierdził, że takie małżeństwa są prawdziwą klęską dla sprawy polskiej na kresach, mając zaś przed sobą realny dowód swych twierdzeń, osądził sprawę ze stanowiska ogólno-narodowego; to mu jednak nie przeszkadzało zająć się tą kobietą i jej dziećmi. Był na pozór szorstki i nie szczędził kobiecie ostrych wymówek, a przecież notował wszystkie szczegóły jej opowiadania i byłem pewny, że uczyni wszystko, co będzie trzeba, aby obronić te dzieci przed wynarodowieniem. Nie chciał jej tylko okazać współczucia i pozostał tak samo szorstkim aż do chwili, kiedy kobieta rozżalona i nieuspokojona wcale, opuściła redakcję, żeby powrócić do męża i dzieci.

Na mnie cała ta scena zrobiła nader przykre wrażenie. Dałem też poznać redaktorowi, że wcale nie pochwalam jego bezwzględnej taktyki.

— Znowu ten wasz galicyjski sentymentalizm! — wybuchnął redaktor. — Gdy pobędziesz pan dłużej na naszych kresach, poznasz, że nie można i nie trzeba się roztkliwiać nad takiemi kobietami, ale raczej należałoby je przepędzić przez rózgi. Pokolenie takich małżeństw prędzej, lub później stracone zostaje dla naszej sprawy.

Nic na to nie odpowiedziałem, a on długo i bardzo wiele mówił potem na ten sam temat. Słuchając go, czułem, że w miejscu tkliwego młodzieńczego sentymentalizmu zbiera w duszy mojej silne, męskie ukochanie tych ideałów, dla których walczyć pragnąłem pod sztandarem, jaki rozwinęła nasza gazetka na dalekich kresach polskiej ziemi.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Stanisława Romanowska: *Nad Michiganem.* (Powieść z życia wychodźców polskich do Ameryki). Lwów. Nakładem „Słowa Polskiego" 1903.

Jest to powieść, raczej nowela, pod względem artystycznym wiele pozostawiająca do życzenia, z tego jednak powodu zasługująca na uwagę, że Romanowska szkicuje w niej z dosyć wielką zaciętością męty życia Polonji w Ameryce. Autorka nie dała wprawdzie ani jednej postaci prawdziwie żywej, ale za to ruch ogólny Polonji amerykańskiej dosyć wiernie jest oddany. Z powodzi idjotycznych graczów, pijaków i podejrzanych indywiduów mile wybija się na pierwszy plan taki sobie prostak Maciej Bulwa, rzeźnik, który, mimo że nie jest uczonym, oddaje należny szacunek, dobrym ludziom wierzy... no... i zostaje prezesem Banku kolonizacyjnego na miejsce ordynarnego Nadętowicza. Szkoda, że autorka zaniechała w swej powieści naszych chłopów - emigrantów; ci są z pewnością o wiele ciekawsi dla nas, niż Nadętowicze, Szwarcowie i inni Wierzbiccy, a nawet sentymentalni kapkę Grabowscy. Silnie odbija się na młodej (prawdopodobnie) autorce niedobry wpływ Rodziewiczówny, którego Romanowska z pewnością z czasem się pozbędzie i da nam lepsze, barwniejsze, bardziej zaokrąglone obrazy z życia Polonji w Ameryce — bo „talent" jest.

F. Gwiżdż.

Z OBCEJ LITERATURY. *(Semène Zemlak, Sous le knout.* Paris — Genève, 1903). Jest to romans z życia Rusinów na Ukrainie, pod panowaniem rosyjskiem. Mimo tytułu, który przypuszczać każe jakąś ideę polityczną, jest to właściwie powieść obyczajowa; zaznajamia ona Francuzów z siołem ukraińskiem, z pierwociną jego życia i stosunków, z obyczajami i stanem duchowym. Od czasu do czasu napotykamy alluzje do knuta, ale dość nieokreślony jest czas, w którym odbywa się sprawa: mianowicie bohater powieści — Petro Topola — wzięty zostaje na 15 lat do wojska, co dziś już nie ma miejsca w Rosji (wobec powszechnej służby pięcioletniej) bywa tam srodze knutowany; knutowanie w wojsku rosyjskiem istnieje dotąd, ale na karę taką może być skazany żołnierz tylko za bardzo wielkie przekroczenie. Petro zaś nie popełnił żadnej zbrodni, przynajmniej autor nic o tem nie mówi; zatem jego obiczowanie jest niewyjaśnione. Autor wogóle robi wrażenie człowieka, który zna Ruś, ale nie zna Rosji. Romans jego o dość prostej konstrukcji, żywo przypomina ludowe sztuki teatru ruskiego. Są tam wszystkie jego typy i tony: melancholja, wesołość, groza, czarodziejstwo; jest wesele, pogrzeb, zamawianie; jest „neszczasne" kochanie; jest kilku parobków: mocny a głupi Semen, piękny i nieszczęśliwy Petro, obłąkany Iwan, wreszcie Jury — szwarc-charakter; są dwie dziewuchy — Ksenia i Ołena; są starsze kobiety Jeryna i czarownica Domna. Jest Stanowoj Prystaw i starosta (wójt).

Treść melodramatyczna z podkładem realizmu w opisach życia wiejskiego: znać umiejętność w układzie, a miejscami autor jest bardzo poetyczny (scena spotkania kochanków). Treść oparta na rywalizacji miłosnej dwóch chłopców: Jura i Petra. Petro ukrywa się przed wojskiem, a Jur go zdradza przed prystawem. Petro więc idzie do wojska, aż na Sybir, na 15 lat; tymczasem Jur stara się o Ołenę, ale ta go nie chce — i oto Jur, pełny żądzy i gniewu, zamyśla o zemście. Petro ucieka z wojska i ukrywa się w jaskini w pobliżu sioła: jakiś czas nikt o tem nie wie, ale ostatecznie — przez obłąkanego Iwana — dowiaduje się Jur i raz jeszcze denuncjuje Petra. Pościg za zbiegiem, opisany bardzo tragicznie. Rzecz dzieje się w czasie Bożego Narodzenia, w chwili godów weselnych Semena z Ksenią: Ołena druchna po śnieżycy biegnie uprzedzić Petra o pościgu — i razem z nim umiera mrozem ujęta. Prystaw i Jur już tylko trupy znajdują. W powieści rolę władzy umysłowej gra bardzo zręcznie wyrysowana postać stuletniej czarownicy Domny. Dla francuzów romans Zemlaka ma znaczenie egzotycznego malowidła etnograficznego: autor bardzo ściśle oddał ruską wieś, a dla podkreślenia kolorytu miejscowego używa licznych wyrażeń ruskich: weczernycia, mohorycz, starosta, bat'ko, gospodar, cerkwa, khata, pirogi etc.

A. L.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.